Lwów, 21. Kwietnia. №47. Rok 1855.

# NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Rycinу mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

## WIENIEC CIERNIOWY.

### Rozdział IV.

### PIERWSZE WRAŻENIA NAJMOCNIEJSZE.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem zbliżyło się całe towarzystwo, i powoli szli ku rzece gdzie już powozy i konie czekały. — Chorąży podał rękę brygadierowej.

— Kochana Krzysiu! nie gniewasz się przecie, że asindzkę tak nazywam...

Miłe mi to imie z ust chorążego; przypomina mi ojca drogiego i szczęśliwe czasy.

— Owóż kiedy już teraz zamieszkaliście u nas, pozwolisz, że asindzkę odwidzę.

— Będzie to dla mnie szczęście, i zaszczyt dla mego męża.

— Już to pan brygadier, mąż asindzki, powinien by mnie starego pierwej odwidzić...

— Mój mąż zapewne...

— Mniejsza o to mociumdzieju!.. jeżeli cię odwidzę, to odwidzę Krzysię mojego przyjaciela. Z brygadierem nigdy niebyliśmy jednego zdania... i on podobno tetryk...

— Mój mąż jest w istocie często bardzo cierpiący.

— A wiem... wiem... mówiono mi nawet, że miewa czasem bzika w głowie.

Pani Wolińska spuściła ku ziemi coraz smutniejsze oczy.

— I czy jesteś asindzka szczęśliwa? pytał dalej chorąży.

— Czy jest szczęście na tej ziemi zupełne!.. odrzekła matka Antosi. Całe moje szczęście, jest to dziecko moje.

— To jedyne asindzki dziecko!..

— Jedyne! odpowiedziała, i łzy długo tłumione puściły się z pięknych jej oczów. Jedyne! powtórzyła, ale nie moje, to przybrane dziecko!.. nie mam.. nie mam, własnego dziecka.

— Czy tak?.. ale niepłacz Krzysiu! Nie powinienem się ciebie był pytać, bo wiem, że jesteś nieszczęśliwa. Ależ bo zkąd że asindzce przyszło iść za brygadiera, którego reputacya...

— Mój mąż kocha mnie, i jest dobry dla mnie.

— Nie mówmy już o tem... stoi tedy na tem, że asindzkę odwidzę, bo kto wie czy długo już będę się mógł cieszyć widokiem córki mojego starego przyjaciela. Nie smuć się asindzka! każdy ma mociumdzieju swój krzyż na świecie.. Ot patrz na tego drymblasa w ogoniastym fraku!.. to przecie ostatni potomek rodu Wendów... i umrę z tą myślą, że nigdy już, nigdy to niegdyś sławne imię nie zajaśnieje dawną chwałą.

Westchnął biedny starzec, i nieznacznie zrobił na piersi znak krzyża świętego.

Rozmowę tę ciszej nieco prowadzoną nikt nie śmiał przerywać, lecz w tej chwili stali już wszyscy na dole przy promie, na którym czekał nasz młody bohatyr z wiosłem w ręku, a przy nim Antosia, usiłująca mu małą swą pomagać rączką.

— Ma cousine!.. popatrz! czy widziałaś kiedy piękniejszą parę... ozwał się Szambelan. Psyche i Kupidyn... Prawdziwe W a t t e a u... jak na freskach Wersalskich.

— Że też asindziej na naszej poczciwej ziemi, nie możesz jeszcze zapomnieć tych fatałaszków zagranicznych.

— Co za konfidencya szczególna, ze strony tego chama, zagadał pan Artur, poprawiając fryzowany tupet.

— Szczególna mociumdzieju duma w twoich ustach mój wnuku! Ten cham, i Bóg to jeden raczy wiedzieć, czy to cham, ma, jak słyszałem od pana szambelana, i od szanownych ojców naszych niepospolite talenta. Z niego, będzie malarz może sławny kiedyś w ojczyznie naszej. A lepiej jakem żyw mociumdzieju być ze sławą pierwszym swojego nazwiska, jak ostatnim długiego szeregu wielkich przodków, bez sławy. Tfu mociumdzieju.

— Powiadam acanu Dobrodziejowi na honor!.. talent ogromny!.. prawdziwy Andreo del Sarto... Correggio... Rafael!..

— Byleś go asindziej pochwałami swemi nie wystrychnął na partacza!

Po tych słowach nastąpiły pożegnania. Witołd sam przewiózł dostojnych gości na drugą stronę. Antosia stała przez cały czas koło niego. A gdy wskoczyła do powozu, porwała stojącego przy niej Witołda za szyję i pocałowała go z wielkim zgorszeniem pana Artura, najszczerzej, mówiąc:

— Dziękuje ci za wiązanie. A odwidzisz nas przecie to tylko milka z tąd... prawda mamo że będziemy się widywać...

— Dobrze moje dziecię drogie!..

Chorąży siadając na konia, patrzał na to także; wąsa pokręcił ruchem sierdzistym, i mruczał pod nosem...

— Dziwne! dziwne czasy!.. ha! mociumdzieju co robić! do grobu nam starym... ta że i mnie dziadowi dał ten dzieciuch nauczkę.

Szambelan z drugiego brzegu żegnał wszystkich kapeluszem trójgraniastym, chustką batystową, i całusami w powietrze rzucanemi.

Dzień ten został na zawsze pamiętny w sercu i umyśle naszego młodego bohatera. Czasami zdało mu się że go szczęście zdybało niespodziane, że się zeszedł z dwoma pokrewnemi sobie duszami, które osładzać będą jego sieroctwo. Czasem znowu smutne i czarne napadały go myśli; bo czuł instynktowo, że to chwilowe zdarzenie, i że rzeczywistość nie wierzy w pokrewieństwo dusz na ziemi a rozrywa i niszczy bez litości wszelkie najpiękniejsze marzenia. I wówczas czuł się jeszcze samotniejszym na świecie, i tulił się jeszcze więcej do poczciwego ojca Dominika. Z większym atoli wziął się zapałem do pracy, mianowicie do malarstwa, w którem zadziwiające robił postępy. Długo się wahał, ale nareszcie przyznał się opiekunowi swemu, że chciałby koniecznie przebrać się. Ojciec Dominik nie miał nic przeciw temu, i dzięki szczodrobliwości Szambelana, ubierał się po świecku, prosto ale z gustem. Szambelan przysięgał, że jak żyje piękniejszego nie widział młodzieńca, i coraz więcej przywiązywał się do niego, a ciągle przeglądał miniatury swoje, goniąc za jakiemś urojonem podobieństwem... Ojciec Dominik zaś niewiedzieć dlaczego, od tego czasu był więcej zamyślony.

---

## Rozdział V.

### ODKRYCIE.

Słobudka, majętność należąca do państwa Wolińskich, leżała o małą milkę od klasztoru nad Wiliją. Był to majątek wielki i obszerny, ale nadzwyczaj zaniedbany, bo przechodząc przez sukcessyę wielkich domów, z jednych rąk do drugich, nigdy niebył zamieszkałym przez dziedziców, którzy tam wysyłali tylko swoich komisarzy. Był to właściwie majątek samej pani Wolińskiej, spadły na nią czy zapisany, ale nikt nie wiedział dobrze przez kogo. Wszyscy się wszakże dziwili, że nagle państwo Wolińscy zjechali tam na stałe pomieszkanie, podczas gdy jak było wiadomo, mieli znaczny majątek samej pani w Galicyi i drugi z pięknym pałacem samego pana na Wołyniu. Od lat przeszło dziesięciu gdy się pobrali, raz tylko zjechali byli państwo Wolińscy do Słobudki wkrótce po pobraniu się swojem. Lecz ledwie godzin kilka tam zabawili. Żona burgrabiego, stara i gadatliwa jejmość rozpowiadała potem przed sąsiadkami, że pani brygadierowa przyjechała bardzo cierpiąca, i oczy miała ciągle czerwone, a pan brygadier biegał czegoś niecierpliwy po pustych pokojach. Ledwie im coś zwarzono, a powozy nawet nierozpakowano, kiedy kazali zaprządz, i wyjechali.

Samej pani brygadierowej niepodobało się położenie podobno; aż spazmów słyszę dostała, kończyła pani burgrabina opowiadanie swoje.

To pewna, że położenie Słobudki nie było wesołe; były tam piękności, ale więcej dzikie i posępne. W pośród czarnych i jednostajnych borów, w niskiem i dosyć bagnistem położeniu, na małej wyniosłości rozrzucona była wieś, prawdziwie poliska, smutna i dymna; poniżej wsi był wielki dosyć staw, z wielką pośrodku kępą, na której wznosił się zameczek stary i ciemny, wiekowemi lipami ocieniony. Widok z zameczka na tę drzewa odwieczne, rzucające cień wszędzie, na tę kępę zieloną wyglądającą jakby ogród, na staw obszerny zarosły mocno szuwarem, nie był brzydki, ale sięgając niedaleko, ograniczony zawsze lasami, w tem oświetleniu mgławem, właściwem okolicom błotnistym, miał w sobie coś nader smutnego bo zajechawszy tam zdawało się że się jest za światem, za ludźmi. Do tego uczucia przykładał się i sam zamek, który dawno niezamieszkały, miał powierzchowność niedbałą, nadszarzaną a i wewnątrz były ślady spustoszenia, jakie czas przy obojętności ludzkiej wywiera. Wprawdzie już w jesieni minionej zjechali jakieś architekty i ogrodniki, i wzięli się do zamku i ogrodu. Za pomocą pieniędzy wszystko zrobić można; to też za kilka miesięcy zamek odmłodniał, chociaż zawsze jeszcze wyglądał tylko na starca wytwornie ubranego; całe jego skrzydło główne zostało przystrojone na mieszkanie pańskie we wszystkie wymysły najwybredniejszej mody, aż się burgrabina, która żyła jeszcze, brała za głowę na widok tych wszystkich sprzętów, jakie tam zwożono. Ogród mianowicie został upiększony, i w rzeczy samej massą swojej zieloności, upstrzoną mnóstwem kwiatów, ślicznie występował z łona wody. Do piękności ogrodu tego przykładał się tuż za stawem od strony zamku gaik bardzo ładny i po większej części brzozowy, który stanowił jakby dalszy ciąg ogrodowej zieloności, bo w tej właśnie stronie kępa nie była zbyt odległa od brzegu. A więc połączono oba brzegi bardzo ładnym promem ogrodowym, a w gaiku poprzerzynano ścieżki do przechadzki, postawiono ławki, i zasadzono kwiaty. Z tej też strony było dosyć wesoło, ale od wjazdu głównego, mimo wszelkich usiłowań pozostało smutno jednostajnie, do czego przykładała się druga grobla do kępy wiodąca i stara brama popękana i w jednem miejscu powalona nieco, która mimo to że dla braku drzwi była zawsze gościnnie otwartą, a nawet miała na przyczołku swym wypisane godło gościnne *Salve!* smutne robiła wrażenie. Zdawało się wjeżdżającemu że jedzie do jakiego starego na pół zniszczonego więzienia.

Dosyć że na wiosnę zjechali raptem sami państwo, z całym taborem ludzi, koni i rzeczy, a więc oczywiście na dłuższe, jeżeli nie na stałe pomieszkanie. Panna Weronika najstarsza służąca brygadierowej, zachodziła się aż od płaczu, na widok tych borów, bagien i starej bramy; i przed czułą burgrabiną skargi swe rozpościerała na dziwne fantazje państwa, by porzucić piękny pałac na pięknem i otwartem Wołyniu, dla jakichsiś ruderów stojących na samym już końcu świata, gdzie dalej świat deskami zabity.

Burgrabina choć urażona w swej dumie litewskiej płakała jednakże na wspól z panną Weroniką, a to wszystko z ciekawości, by się coś więcej dowiedzieć.

— I to wszystko przez pana! szlochała panna garderobiana.

— Jak to przez pana? przeciągnęła Litwinka z oczami wytrzeszczonemi.

— Bo pan ma coś...

— Coś?.. co takiego?...

— Nazywają to tam po pańskich pokojach chorobą mankoliczną... ale mnie się zdaje że on ma po prostu....

— Cóż takiego? w imie Chrystusa?...

— Ot bzika! i tak z tem!

— Bzika! Święty Antoni!

I tym to sposobem historja o bziku brygadiera rozeszła się dzięki językowi burgrabiny po całej okolicy.

Czy w rzeczy samej brygadjer Ignacy Woliński miał bzika, trudno było stanowczo powiedzieć, ani też łatwo było wyrzec z pewnością, że ma ową chorobę mankoliczną, jak przezwała panna Weronika melancholią, ale to niezawodnem było, że on nie był tak jak drudzy ludzie. Rozmawiał rozsądnie, a nawet często bywał wesoły nad miarę, bo z zapałem młodzieńczym mimo lat czterdziestu rzucał się w najhuczniejsze zabawy, pił, szalał, i hulał zawzięcie. A przecie było w nim coś dziwnego, wśród śmiechu, szaleństw i wesołości, wszystko się w nim śmiało, i ciało i twarz cała, prócz oczów, w których palił się wiecznie ciemny jakiś ogień, jakby nocne ognisko w ciemnej pieczarze. Namiętny przytem nadzwyczaj, wpadał czasem za lada najmniejszą rzecz w taki gniew i wściekłość, że odchodził od przytomności prawie, rzucał się i pienił jak dzikie zwierzę, a oczy jego pałały wówczas całym pożarem złowrogim. Po takiej chwili szalonego gniewu, wpadał zwykle w stan zupełnie przeciwny, bo uciekał od ludzi, szukał samotności, do nikogo nic nie gadał, unikał nawet wszelkiego towarzystwa, i gonił konno po polach, górach i lasach aż do najwyższego zmęczenia. Czasami znowu znudzony i samotnością i hulankami sąsiedzkiemi, wyjeżdżał nagle nie powiedziawszy nic nikomu, ledwie się pożegnawszy z żoną, i całe miesiące wałęsał się po wszystkich kątach własnego i cudzych krajów, nosząc z sobą to usposobienie niezadowolone z niczego. Bliżsi jego znajomi przypisywali to usposobienie pierwszej jego młodości, przepędzonej w rozpuście największej. Potomek rodu szlachetnego i zamożnego, wcześnie osierocony, przystojny i młody pan Ignacy Woliński wszedł do dworu Stanisława Augusta, który jak wiadomo nie odznaczał się zbytnią czystością obyczajów. Namiętny miłośnik płci pięknej, w ciągłych żył intrygach miłośnych, i doszedł do kolosalnej w tej mierze reputacyi; liczba jego miłostek przy dworze i za dworem, w salonach i w mieście, w pańskich komnatach i za kulisami stawała się bajeczną. Z tych wszystkich intryg wynikały pojedynki, długi i rozmaite awantury skandaliczne, które były jego największą protekcyą przy królu Stanisławie, lubiącym wszystkie buduarowe plotki.

W skutek tych rozmaitych awantur, a jak drudzy żartownisie ówcześni twierdzili, by po Wenerze odpocząć na łonie Marsa, wstąpił do wojska; nigdzie tak dalece nie wojował, adjutantował jeno czas jakiś przy xięciu Józefie synowcu królewskim, i to więcej przy kuchni jak przy sztabie, więcej przy rądlach jak przy koniach, więcej w posyłkach niezbyt honorowych, na polu łatwych zdobyczy romansowych, do których xiążę Józef miał słabość niesłychaną, niżeli w wyprawach jakich rycerskich. Pisarz koronny Kazimierz Rzewuski nazywał go żartem niby: noclegowym kwatermistrzem xięcia Józefa. Nie wdając się jakie były jego zasługi rzetelne, powiemy tylko, że został brygadierem tytularnym, i na krótko przed ożenieniem porzucił służbę, i wrócił nazad na pole pierwszych popisów młodzieńczych, do dworu królewskiego, wtenczas już przesycony, zużyty, znudzony, i goniący ciągle za cielcem złotym, którego stał się niepospolitym hołdownikiem. Jakie było jego pożycie domowe z żoną, nikt dobrze nie wiedział, bo z jednej strony on sam był za nadto dobrze wychowany, aby nie okazywał powierzchownie przynajmniej szacunku i przywiązania dla kobiety zewszechmiar tego godnej; a z drugiej strony sama pani Wolińska miała to wyższe usposobienie szlachetnej niewiasty, która umie błędy nawet mężowskie nieprzebitą okryć zasłoną. Jeżeli miała jakie cierpienia domowe, nikt pewnie o tem nie wiedział, i nikt nie odgadł z jej twarzy, której zwykłym wyrazem była cicha, słodka powaga, mogąca zarówno pochodzić z wewnętrznego spokoju, jakoteż z rezygnacyi gruntującej się na religii i pojęciu dobrem obowiązków społecznych. W świecie mówiono rozmaicie jak w świecie, jedni twierdzili, że się pobrali z miłości, drudzy że się brygadier ożenił dla majątku. Jedni żałowali brygadierową, że ma męża z takiem kapryśnem usposobieniem, niezdolnem uszczęśliwić kobiety wyższych uczuć i umysłu; drudzy żałowali brygadiera, że ma żonę zimną, obojętną, rodzaj pięknego marmurowego posągu. Bo zdania ludzkie każdy człowiek z osobna wyrabia podług siebie, a nikt nie może, co więcej nie chce zajrzeć do wnętrza, gdzie się odbywają często te nigdy nie odkryte, Bogu tylko wiadome, do grobu tajemnicą pokryte walki. (C. d. n.)

# JEDNO A NIE TO SAMO.

Kochałem! i cóż z tego? przeklęte kochanie!
Wszak mię znałeś przed laty? Jak zły szeląg panie.
Jam był młody, wesoły, rzeźwy i ochoczy,
Zda się, żebym był zdolen ulecić po tęczę,
By ją miasto wstążeczki zaplatać w warkocze
Lada pięknej dziewczynie; a dziś patrz jak ślęczę
O dwóch kulach, zgarbiony, drząc na całem ciele,
Bo tych pare krwi kropel w pokurczonych żyłach
Niepodoła tchnąć ciepło w spruchniałe piszczele,
Niepozwala o własnych poruszać się siłach.
— I to wszystko czas zdziałał? Nie! ot na łysinie
Panie ledwo dziś trzeci krzyżyk wypisany.
— W czemże szukać przyczyny tej wczesnej przemiany?
W miłości! w dziewczynie!

I jam kochał i kocham, i również przed laty
Znałeś mię jak ja ciebie; patrz czylim garbaty?
Czym nie lekszy jak przed tem? czy mi sił ubyło?
Czyli jakie zużycie twarz w zmarszczki spowiło?
Czym nie młody, nie zdrowy, nie żyw, nie ochoczy?
Czy zwątpisz o mem sercu patrząc w moje oczy?
A choć nie jedna burza zbiegła nad mem czołem,
Przecież nie mniej jak dawniej widzisz mię wesołym,
A choć kochałem, kocham... o kuli niechodzę,
I chętnie się żyw, wesół z przeznaczeniem godzę,
I nieczuję przyczyny, dla czegobym ninie
Miał złorzeczyć miłości i mojej dziewczynie.

Z jednego zdroju czerpaliśmy wodę,
Lecz nie w jednakie naczynie;
Tobie ten napój stargał siły młode,
Mnie zdrowiem po żyłach płynie.

O! bo ty ciałem pokochałeś ciało,
Jam duszą w duszy utonął,
Ciało jak ciało, stargać się musiało,
Duch większem życiem zapłonął. —

B. B.

---

## W odpowiedź na sprawozdanie dyrekcyi teatru polskiego.

Doczekaliśmy się wreszcie sprawozdania dyrekcyi teatru polskiego, które zwycięzko a logicznie zbija wszelkie zarzuty, jakie przeciw niej czyniono, lub kiedykolwiek czynić będą.

Dyrekcya z całą skromnością nie zaprzecza przewinień, ale się chowa po za reżysera, który wedle dyrekcyi *odpowiedzialny jest za wszelkie niedokładności pod względem artystycznym*! Jestto nowy i wielce wygodny wynalazek, stawiający między dyrekcyą jakby królem konstytucyjnym, a publicznością niby narodem odpowiedzialne ministerium. A my prostaczkowie myśleliśmy dotąd, że do reżysera należy jeno zachowanie porządku przy próbach i przedstawieniu samem, aby sceny szły jak się należy i nie brakowało żadnego potrzebnego przyboru; od dyrekcyi zaś żądaliśmy odpowiedzialności za artystyczny kierunek sceny. Pokazuje się tedy, że nie dyrekcja była winna, ale p. Starzewski, a teraz zapewne p. Smochowski zostanie kozłem ofiarnym, odpowiedzialnym za wszelkie błędy dyrekcyjne. Nie zazdrościmy mu tego położenia.

Dowiadujemy się dalej — dobrze to mówią, że do końca życia uczyć się trzeba — że dyrekcya *uorganizowała porządek zakulisowy*, i wiele *innych zaprowadziła nówych organizacyi muzycznych* i innych; a my — bodaj że nas! — przez tyle lat chodziliśmy na teatr, i postarzeli się, i nie wiedzieliśmy o tem, że nasza scena lwowska żadnego nie miała dotąd porządku, i dopiero w teraźniejszej dyrekcyi dzielnej siły organizacyjnej doczekała się. I to tak dzielny porządek zakulisowy zaprowadzono, iż po kilkakroć w takim wesołym stanie wychodzili na scenę młodzi artyści, że język im się w gębie plątał. Głównem dziełem organizacyjnem ma być wzbogacenie repertoarzu *wielą* nowemi i *wznowionemi* dziełami dramatycznemi *wyższej* osnowy, autorów *reputowanej* sławy; oraz zastosowanie się do *rozmaitego* gustu uczęszczającej publiczności. No proszę kogo! kto by się tego domyślał że tego roku było, sztuk nowych *wiele!* Czyby nie można wszakże tego wyrazu ogólnego *wiele* zredukować na cyfry, i zapytać się, *wiele* to było tego wiele? Bo że wznawianych sztuk było bez końca, o tem nikt nie wątpi, kto tego roku czytał afisze. Każdy tytuł zmieniony, stanowi chyba nową sztukę, każdy żaś oddział onej nową nazwą obdarzony że się nazywa wznowieniem, to jużciż tak jest logiczne, że nawet ś. p. *Kondillak* nie miałby nic temu do zarzucenia. Co do *rozmaitego gustu publiczności*, mniemamy, że to się musi ściągać do tej zgrai rozbójniczych, Rynaldynowskich, Abelinowskich i diabelskich utworów, których tyle tego roku przeszło przez scenę naszą. Przecież raz, dzięki dzisiejszej dyrekcyi dowiedzieliśmy się na prawdę, jaki jest gust przemagający naszej publiczności; a myśmy ją dotąd posądzali, że smakuje w utworach tak mdłych n. p. jakiemi są arcydzieła takich mistrzów jak hr. Aleksander Fredro lub Korzeniowski.

Nic to wszakże naprzeciw zaprowadzeniu *nowego oświetlenia*, jakie uskuteczniła dyrekcja! Nie dosyć że rok cały dyrekcja oświecała nas swojemi wielą nowemi i wznowionemi utworami dramatycznemi, ale w końcu oświetliła i scenę i salę widzów, a to, po *wielu kosztownych próbach!* Zaiste, mnogie musiały być usiłowania, próby bez końca, a koszta niezmierne, zanim przyszedł do skutku rezultat, zostawiający daleko w tyle inne prace chemiczne i fizyczne, rezultat przyświecających dzisiaj nam w teatrze lampek olejnych z kapslami! Szkoda tylko, że przyświecają próżnemu teatrowi.

I rzeczy ten porządek nie został nawet przerwany kilkomiesięczną ciężką słabością dyrektora teatru, który słabością niezwalczony miał wzgląd na bezstronne uwagi krytyczne, i choć nic nie zmienił w swoim zarządzie nieodpowiedzialnym, choć ani jednej z tych uwag nieposłuchał, ale zmienił reżysera, aby się dalej ukrywać po za jego odpowiedzialnością, i na niego dalej walić wszystkie zarzuty jakieby kto miał czynić nienaruszalnej dyrekcyi.

Najciekawszą częścią rzeczonego sprawozdania jest ten ustęp, w którym dyrekcja oświadcza, że zarzut wydalenia niektórych członków nie obciąża bynajmniej dyrekcyi, która najbliżej interesowana w ryzykownem przedsiębiorstwie nie jest w sytuacyi powodowania się dobroczynnemi uczuciami. Czy może być co sciślej logicznego?

Bo cóż dyrekcją może obchodzić publiczność z jej śmiesznemi sympatiami do dawnych pierwszego rzędu artystów, a jeszcze śmieszniejszemi antypatiami do nowych studentów w sztuce dramatycznej, pościąganych przez dyrekcją. Dyrekcja jest przedsiębierstwem, a publiczność powinna dostarczać pieniędzy, aby przedsiębierca dobrze wyszedł. To jakby kto śmiał utrzymywać, że wydawca pisma czasowego powinien się starać o dobre artykuły. Śmieszne żądanie! Za dobre artykuły żądają po kilkadziesiąt ryńskich od arkusza, a można mieć liche za pięć ryńskich. Idzie oto, aby kolumny były zapełnione i kwita. Publiczność może na to odpowiedzieć podobnem rozumowaniem i powiedzieć, że my biorąc na siebie ryzyko nudzenia się w teatrze, nie jesteśmy w sytuacyi powodowania się dobroczynnemi uczuciami dla uczących się dopiero sztuki dramatycznej i przedsiębierstwa dyrekcyjnego, i mając sympatją dla dobrych, prawdziwych artystów, nie chcemy przychodzić i opłacać sceny dzisiejszej, która się stała szkołą dramatyczną. Rozumowanie takie w ustach dyrekcyi jest słuszne, w ustach zaś publiczności jest niesłuszne! Dla czego?.. Bo dyrekcja jest na to przedsiębierstwem, aby korzystała z publiczności, a publiczność niech się do tego stosuje.

A jeżeli kto tej logiki niezrozumie, niech przeczyta i studjuje z uwagą kwestją podniesioną w jednej Krasickiego bajce: Jestli nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa?

Z tego tedy możesz teraz zrozumieć szanowna z malkontentów złożona publiczności, dla czego niemamy dziś przy scenie takich artystów jak p. Nowakowski lub pani Aszperger. Bo to są artykuły dobre ale drogie. Mogą jeszcze pracować, publiczność ich lubi... ale kiedy się cenią po słuszności, a dyrekcja może mieć tanich artystów, za których przyszłość najsolenniej ręczy, mówiąc że mają i dzwięczny organ głosu, i czystą wymowę, i młody wiek, i pamięć, i kształtne formy ciała (do tych mianowicie Dyrekcja ma wielkie nabożeństwo), a co więcej, mają wielką dla dyrekcyi cnotę, bo są dyrekcyi uległemi. Bo to panowie nie mała rzecz!. Ci dobrzy artyści miewają to fałszywe przekonanie, że powinni być użyci do ról większych i stosownych. A to nieprawda... Dziać się musi po woli dyrekcyi. Wczoraj grałeś Makbeta, dzisiaj graj lokaja. A był przecie przypadek, że jeden z pierwszych artystów czuł się boleśnie dotkniętym, że gdy studentom rozdano role pierwsze, jemu dostała się rola, w której przez pięć aktów jedno tylko miał powiedzieć słowo: *chętnie*. I ten sam artysta o tyle nie chciał być uległym Dyrektorowi, że odsunął się od sceny, nie chcąc podpisać kontraktu, w który mu wkładał Dyrektor warunek iż do *wszystkich posług teatralnych* ma się dać używać!

A jeżeli panowie malkontenci i to wam nie wystarcza, przeczytajcie te złotego rylca warte słowa przy końcu sprawozdania: «Nie podobna oddawać się zupełnej rozpaczy, i nieufać całkiem przyszłości, która może być równie obfita w talenta.» Co za szczytna! jak miła pociecha!... Już to trochę rozpaczać jest wam wolno, bo rozpaczać jest czego, ale czekajcie cierpliwie, chodźcie na teatr, a płaćcie osobliwie, a przecież... może i na wierzbie wyrosną kiedyś gruszki!...

Tak tedy odpowiedziawszy na wszystko zwycięzko, powiada ku końcowi dyrekcja uroczyście: *Fundamenta do budowy są założone.* Widzicie!.. a wy myśleli, żeście mieli we Lwowie scenę polską i nie raz nawet marzyliście, że scena lwowska, należy do najlepszych polskich a co do dramatu jest pierwszą. Gdzie tam! Nic nie mieliście dotąd. Aż dopiero przyszedł nowy mąż, i zobaczywszy że to co jest, to nic nie warto dla niego, zburzył to co było, a teraz dla waszych wdzięcznych prawnuków zakłada fundamenta! Sypnijcież panowie grosza, by te fundamenta rosły w świątynię, o której jak będzie wyglądać, dosyć powiedzieć kto jest jej budowniczym i kapłanem.

A miejcie też wzgląd i na to jak mówi sprawozdanie, że *każdy początek jest trudny, a trudniej jeszcze wszystkich zadowolić.*

Znaliśmy jednego pessymistę i krytyka, który twierdził że najtrudniej jest nikogo niezadowolić. Jestto zaiste wielka sztuka, a wielcy mężowie mają zwykle pochop do wielkich rzeczy! I podobna rzecz wielka udała się dyrektorowi! A więc: *patientia in mala hora!* niech odtąd będzie godłem waszem szanowna publiczności!

Na samym końcu sprawozdanie zbija obawę, która miała być wyrażona: żeby przedsiębiorca po ekspiracyi swej antrepryzy nie uprowadził członków ze sceny lwowskiej. I na to odpowiada sprawozdanie zwycięzko, przytaczając kontrakt zawarty z c. k. administracyą. Nie chcemy przedłużać artykułu tego długim wywodem kwestyi, którą zadaje wymieniony już pessymista. Przytaczamy tylko samo zapytanie: A jeżeli antrepryza skona przed ekspiracyją, cóż się stanie z członkami sceny, którzy z nią tylko mają porobione kontrakta? —

**Dr. Floryan Ziemiałkowski.**

# WSPOMNIENIA

## Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE.

( Obacz Nowiny 1854 Nr. 88.)

Stepowo-górzysta okolica otwierała się przedemną, gdym występował ze Stauropola. Sam nie wiedziałem czego się cieszyłem, spojrzawszy w tę przestrzeń, co w krótce miała roztoczyć przed mym wzrokiem mnóstwo zajmujących widoków, i zaledwie z nazwiska znajomych przedstawić okolic i ludów; gdzie miała się wysnuwać ma przyszłość, śród nieprzewidzianych a nader ciekawych przygód. Słońce już się wzbiło na niebo w całej okazałości wschodniej; poza mną jaśniał i migał Stauropol z całą pstrocizną dachów i murów. Rozlegał się po zroszonej trawie dźwięk dzwonu z pięciogłowego soboru, co całym ogromem osiadł na najwyższem wzniesieniu miasta. W dali przedemną w przezroczstym powietrzu bielał na niebie dwuwierzchołkowy Elborus, a step kaukazki powiewał najpiękniejszą zielonością traw i zasiewów.

Niewiele odmienny miałem nateraz kraj w około niż poprzednio, ale odmienne podróży towarzystwo; znalazłem się w gronie kilku żołnierzy wracających z urlopów do swych pułków, trzech czy czterech kaukazkich junkrów, wesołych hulaków, nareszcie jakiejś kobiety średniego wieku z podrastającą córeczką, przejeżdzającej z głębokiej Rossyi do męża, będącego gdzieś żołnierzem na kaukaskiej linii. Za nami toczyła się parą wołów zaprzężona podwoda, obładowana naszemi tłumoczkami, pod dozorem owej żołnierki i jej córki, którym przez wzgląd na ich płeć, całe towarzystwo ustępowało prawa jechania.

Kraj, który przed Stauropolem jeszcze zaczął ustrajać się w góry olbrzymich zarysów, podnosił się, im bardziej zagłębialiśmy się w okolice; lecz droga nasza prowadzila jeszcze po równi między bujną roślinnością. Już tu nie było widać chłopków, ani trzód tak licznych jak przed Stauropolem: przeciągali tylko konno liniowi kozacy, w ubiorze i uzbrojeniu czerkieskiem. Oni tu wzdłuż całego gościńca co mila lub dwie trzymają kordony i mają swe stanowiska okopane, lub obmurowane z wyżką, czyli wieżyczką, na której wierzchołku kozak, cały w uzbrojeniu, z gwintówką i pistoletami, przy szaszce i kindżale, zwraca się na wszystkie strony, wypatrując czy jakie niebezpieczeństwo nie zagraża podróżnym ze strony górali. Na dole pod wyżką, pasą się konie puszczone luzem, i kilku, czasem kilkunastu kozaków, to leżą, to siedzą na trawie, grając w karty, lub czyszcząc swą broń. Jestto ich najprzyjemniejsza zabawa, która tak w domu, jak na służbie nie opuszcza ich i największą część życia im zajmuje. Tuż pod kordonem poniżej, najczęściej nad strumykiem lub przy studni, dymi się ognisko przy którym gotują sobie posiłek, lub w dnie chłodniejsze grzeją się gromadnie.

Nim się przyjrzymy lepiej ich życiu i zwyczajom po różnych punktach kaukazkiej linii, nim rzucim okiem na uorganizowanie się tej linii. wznoszenie się miast i forteczek, nim zwiedzim stannice i ich towarzystwa, nim się zagłębim w wąwozy i lasy kaukazkie, a w miarę postępowania ku tym białym szczytom, zapoznamy się z licznemi pokoleniami gór: poznajmy wprzód pierwsze początki wojny kaukazkiej.

Najważniejszym celem i najpiękniejszem marzeniem Piotra Igo było otwarcie szerokich bram swego państwa i wprowadzenie swych poddanych na dalekie gościńce do państw Zachodu jako i w głąb Azyi wiodące. Lecz na drodze do tej ostatniej leżał dziki Kaukaz, a brzegi morza Czarnego i Azowskiego obsiadły liczne pokolenia górali i szczątki owych hord strasznych Tamerlana. Od morza Czarnego trzeba było rozpocząć pracę trudną, która miała z czasem spokojnemi stosunkami handlu połączyć Wschód z Zachodem. Ale do zawiązania tych stosunków dojść można było tylko orężem. A naprzód szło o wypłynienie na morze Czarne. Bez portu jakiegokolwiek i żeglugi na morzu Czarnem, niepodobieństwem zdawało się zbliżyć do niedostępnych gór Kaukazu. Ztądto Piotr I-y musiał dotrzeć aż do brzegów Czarnego i Azowskiego morza, o kilkadziesiąt mil ku południowi posunąwszy granicę swej monarchii. Wzięcie Azowa, a następnie zbudowanie portu Taganrogskiego (1695 r.), było świetnym początkiem obszernego planu. Lecz niepomyślna wyprawa przeciw Turków i pokój nad Prutem, na krótki czas przerwały nić tych działań, które później z pomyślniejszym rozwinęły się skutkiem. Azów na mocy tego pokoju zwrócony Turcyi; port taganrogski zniesiony. Niezmordowany monarcha nie cofnął się od swego przedsięwzięcia: nie udało się stanąć silną nogą na gruncie azyatyckim od morza Czarnego, postanowił więc dokonać tego od Kaspijskiego. Tam więc swój wzrok skierował. Tu z Persyą trzeba było mieć do czynienia, lecz ta nękana była wojną domową, nie mogła też ani szkodzić ani pomagać. Turcya tylko i tu wyciągnęła dłoń zbrojną, a korzystając także z niezgód wrzących w dynastyi szacha, zagarnęła jej prowincye zachodnie i aż po Kaukaz się rozparła. Z drugiej strony górale, korzystając z tego położenia Persyi, robią wycieczki do Gruzyi i sąsiednich prowincyj. Jedno z najstraszniejszych i najsilniejszych pokoleń, Lezginowie, ogniem i mieczem pustoszą prowincyą szyrywańską i do 300 rossyjskich kupców bawiących w Szemachii, zabijają. Persya więc, jeśli nie mogła szkodzić Rossyi, nie mogła też być jej użyteczną. Z Turcyą tylko i wspieranemi od niej góralami trzeba było mieć do czynienia. Rychło zbudowana została w Kazaniu flotylla Kaspijskiego morza.

W r. 1722, 15. maja wypłynęła ona z ujścia Wolgi z 22,000 piechoty, 9,000 dragonów i 15,000 kozaków i Kalmuków. Sam Cesarz nią dowodził. Okręty naładowane amunicyą i prowiantem krążyły koło brzegów, gdy armia

postępowała po lądzie, drogą przez Dagestan wiodącą, po której oddawna liczne narody od północy jako i południa przeciągały. Wtedyto po raz pierwszy niedostępne góry rozległy się hukiem dział rossyjskich. Pokój w Petersburgu w 1722 r. zawarty, zostawił za Rossyą prowincye nadkaspijskie. Niedługo Turcya znowu wzięła się do oręża. I tu więc Rossya byłaby przez nią niepokojona, gdyby nie to, że Austrya będąca w przymierzu z Piotrem 1ym, nie zagroziła jej Nad-Dunajskim prowincyom. Cesarz Rossyi kazał sobie ustąpić ziemie tak w jego ręku będące, jako też i inne sąsiednie; lecz nie doczekał się owoców swej expedycyi, kończąc niedługo żywot, a śmierć jego zmieniła postać rzeczy. Odstąpiono od celu głównego, jakim był handel, lubo wznawiano tę odwieczną walkę z góralami i Turcyą, a nawet z szachem; bo Persya za wstąpieniem na tron Nadir-Szacha odbiła swoje prowincye, a Rossya dla braku finansów musiała zrzec się z taką trudnością zdobytych ziem zakaukazkich. Nadto pokojem w Belgradzie 1739 r. zawartym, zmuszoną była uznać niepodległość Wielkiej i Małej Kabardy, prowincyi ścielącej się u stóp środkowego Kaukazu od północnej jego strony, nad którą swą opiekę oddawna rozciągała, i przytem zaprzestać myśleć o zbudowaniu floty na morzu Azowskiem.

Tak więc od zachodnich jako i wschodnich brzegów zniweczone były usiłowania Rossyi usadowienia się na ziemi Kaukazkiej i Zakaukazkiej. Pozostawała trzecia jeszcze droga środkowa przez wąwóz Daryalsyi prowadząca droga do Gruzyi, trudniejsza może, lecz za to pewniejsza. Osetinowie, jedno z plemion góralskich, zamieszkują około tego wąwozu i trzymają, można powiedzieć, złoty klucz Gruzyi. Od nich zależało wpuścić tam kogo się im podobało i poprowadzić aż na piękną dolinę Alazańską, lub zabronić nawet zbliżyć się pod niebotyczne ściany wąwozu. Cesarzowa Elżbieta dobrze to pojęła; potrafiła zbliżyć do siebie Osetinów, tak, że ci zaczęli przyjmować religią chrześciańską. Ustanowioną była w Mordoku duchowna komissya w celu nawracania ich; a tym sposobem w Osetii w Daryalskim wąwozie i na mroźnych białych wierzchach środkowego Kaukazu, przez które trakt gruzyjski prowadzi, zasiano ziarno prawosławnej wiary. Osetia sprzymierzyła się z Rossyą, otwarła jej wąwóz i poprowadziła jej posłów aż za góry. I oto najpierwsze początki kaukazkiej linii, która miała z czasem zabezpieczyć gościniec do bogatej Azyi. Przecież uorganizowanie tej linii, rozwinięcie jej kierunków, obsadzenie forteczkami i redutami, dokonały się dopiero za Katarzyny II i jej następców; bo ona dopiero z nową energią rozpoczęła tak świetnie przez Piotra Igo zagajone działania wojenne na Kaukazie. Niżej nieco, w miarę jak się zagłębim w tę krainę rozlegającą się hukiem dział i na różnych punktach spotkamy się z różnej krwi i narodowości jej mieszkańcami, postaramy się zbadać: w jakich okolicznościach formowała się ta linia, zabezpieczająca granicę południową Rossyi od bujnych nabiegów, tych że tak powiem dzikich ptaków gór, mglących często baczne oko posterunków rossyjskich. Tymczasem zwróćmy jeszcze uwagę na ogólny ruch oręża rossyjskiego.

Uzbrojenie i wzniesienie na różnych punktach fortec i redut, wywołało kroki zaczepne Kabardyńców i Czeczeńców. Jedni z za Kubani, drudzy z za Tereku rozpoczęli ten szereg wycieczek, tych walk i utarczek dorywczych na kwitnące i bogate sioła rossyjskie, dotąd się w tymże samym przeciągających charakterze. Ośmielała ich wojna z Turcyą, prowadzona wtedy przez Cesarzową, a zakończona pokojem Kuczuk-kajnardzkim (1774), którym prócz innych korzyści, Rossya otrzymała władztwo n ad obiema Kabardami i dostała w posiadanie brzegi Azowskiego morza. Wtedyto zbrojna kaukazka linia pod namiestnictwem Potemkina rzucona została od Moidoku aż do Azowa, kozacy uorganizowani, i wtedy to zabezpieczona droga do Gruzyi, pomiędzy Osetinami, przez malowniczy wąwóz Daryal, około którego siadły liczne reduty. (D. c. n.)

## Rozmaitość.

* Redakcja «Nowin» doniosła Publiczności, jakoby Dyrekcja teatru niedozwoliła p. Smochowskiemu brać udziału w widowisku przedstawionem na fundusz wybudowania domu dla zakładu szycia. Mylne to doniesienie winno być sprostowane, gdyż Dyrekcja nie tyl- p. Smochowskiemu nie wzbraniała, ale i owszem, na wezwanie Dostojnej Opiekunki tego zakładu, oddała do dyspozycyi *wszystkich członków* sceny polskiej, nie wyłączając nawet od udziału w tem widowisku p. Nowakowskiego i pani Aszperger, *jeżeli ci ostatni do grona artystów sceny miejscowej powrócą.* Ofiarowała nadto dyrekcja do użytku teatr, i wybór dnia w tym celu bez żadnego za to wynagrodzenia.

Z tego postępowania Dyrekcyi nie można robić nieprzyjaznych wniosków, gdyż to jest widocznie: iż ta, bez ubliżenia sobie, nastręcza każdą sposobność pomienionym Artystom powrócenia do sceny, na której i od dyrekcyi i od Publiczności są pożądanemi i że przed samą nawet ofiarą *uczuć dobroczynnych,* mają pierwszy obowiązek moralny dla *sceny narodowej!*

Dyrektor, Przedsiębiorca sceny polskiej.

* List powyższy pana Chełchowskiego, wystosowany do redakcyi umieściliśmy w chęci przekonania czytelników iż doniesienie nasze o odmownej odpowiedzi danej Jaśnie Oświeconej Księżnie Sapieżynie było prawdziwe. Nie wiedzieliśmy jednak iż to nie była prosta odmowna odpowiedź, któraby to Czcigodnej Opiekunce zakładu sierot w niczem była nieubliżała. Warunki zaś, jakie p. Chełchowski postawił, aby Jaśnie Oświecona Opiekunka albo wykluczyła z przedstawienia zamierzonego dwoje najsławniejszych artystów polskich, albo przyniewalała pana Nowakowskiego i panią Aszpergerową do przyjęcia propozycyj i angażowania pana Chełchowskiego, zawierały nie tylko odmowną odpowiedź, ale uczynione tak wysoko postawionej, dostojnej Osobie, były ubliżające. R...

* Dnie 29. Kwietnia ma się odbyć Koncert w sali redutowej który godzien zewszechmiar powszechne wzbudzić współczucia. Odegrają go na dwóch fortepianach obaj Boguccy ojciec i syn, znany już nam zaszczytnie 11 letni Oleś Bogucki, o którym czytaliśmy już po tylu gazetach pochwalne artykuły, i którego grę nadwyczajną prawdziwie co do przełamywania największych trudności podziwialiśmy

roku przeszłego. Występ ten jego tem większej godzien ciekawości, że ma on odegrać najtrudniejsze utwory Thalberga Chopina i innych. Młodziutki ten artysta winien swoje wykształcenie muzyczne ojcu własnemu, znanemu nam także ze strony zaszczytnej. Był on dawniej obywatelem Cyrkułu Samborskiego, a od lat siedmiu jest słusznie cenionym nauczycielem muzyki we Lwowie. Wykształcenie syna na artystę wielkie rokującego nadzieje, daje nam wiarę o ojcu gruntownej znajomości sztuki muzycznej, a zarazem ma swoją rzeczywiście rozrzewniającą stronę, którą nasza publiczność ocenić niezawodnie potrafi.

**Przyjechali** od dnia 19. do 20. Kwietnia. do Lwowa.

PP. Czermiński Julian, z Glińska. Papara Władysław, z Milowy. Papara Henryk, z Żubówmostów. Eminowicz Kajetan, ze Smerekowa. Kłodziński Adam, z Parchacza. Brześciański Sylwester, z Rustweczka. Dobrzański Julián, z Milatynu. Serwatowski Wojciech z Rajtarowic.

PP. Gorajski Adam, z Wiednia. Hoszowski Nereusz z Krakowa. Szawłowski Ludwik, z Krakowa. Zagórski Michał. z Krakowa. Dokrzański Stanisław, z Daszawy. Podlewski Alexander z Dołhego. Domaradzki Henryk ze Złoczowa. Szczepański Władysław, z Wisniowczyka. Krzystofowicz, z Tarnopola. Malczewski Juljan, z Skwarzawy. Lokucijowski Ludwik z Lipska. Obertyński Leopold, ze Stronibab.

**Wyjechali** od dnia 19. do 20. Kwietnia ze Lwowa:

PP. Paluszyński Józef, do Mokrzan wielkich. Stadnicki Leon, hr. do Nadyb. Treter Konstanty, do Łonnia. Załuski Józef hr. do Jasiennicy. Zatorski Maxymilian, do Żółkwi. Wojczyński Alfred do Żółkwi. Mrozowicki Jan, do Sokołówki. Bobrowski Klemens, do Korsowa. Smarzewski Nikodem do Artassowa. Udrycki Adolf do Choronowa. Malczewski Stanisław do Cześnik. Czerkawski Jozef do Brzeżan. Remański Jędrzej do Prókowa. Golejowski Józef hr. do Krakowa.

**Lwów, 20. Kwietnia.** Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 15 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 30 złr. — kr. Jeczmienia po23 złr. 45 kr. do 25 złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 16 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 12 złr.30 do 13 złr.15 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 47 złr. 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 42 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 35 kr. do 5 złr. 38 kr. Centnar słomy 2 złr. 45 kr. do 3 złr. 45 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 20. b. m. o g. 2 popołud.**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Augsburg za 100 złr. . | 125 5/8 | Pożyczka 5% 81 3/4 4 1/2 | — |
| Hamburg za 100 tal. banco | 93 1/8 | Akcye banku . . . . | — |
| Londyn za 1 funt szterl., | 12 17 | Kolej północna . . . . | — |
| Medyolan za 300 lirów | 125 | Obl. ind. . . . . . . . | — |
| Paryż za 300 franków . | 147 1/4 | Nowa pożyczka z loteryą | 103 1/4 |
| Agio duk. ces. . . . . | 29 1/4 | Pożyczka narodowa . . | 86 1/4 |

**Wczorajszy Kurs Lwowski**

| | | Gotówką | | | | towarem | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Dukat holenderski . . . . . . . . . | złr. | 5 | kr. 48 | złr. | 5 | kr. | 52 |
| Dukat cesarski . . . . . . . . . . | « | 5 | » 52 | » | 5 | « | 56 |
| Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . . | « | 10 | « 6 | » | 10 | « | 10 |
| Rubel srebrny rosyjski . . . . . . . | » | 1 | « 58 | « | 1 | » | 59 |
| Talar pruski . . . . . . . . . . | » | 1 | « 54 | » | 1 | « | 56 |
| Polski kurant i pięciozłotówka . . . | » | 1 | « 25 | » | 1 | « | 26 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | » | 92 | « 45 | » | 93 | « | 20 |
| Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu | | 73 | » 36 | » | 73 | » | 56 |
| 5 proc. pożyczka narodowa . . . . . . . . | | 84 | » 50 | » | 86 | « | — |



Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**